

I/907

Tadeusz Zochowski  
Nagranie relacji: Janina Wołczuk  
Redakcja maszynopisu: Beata Wołczuk

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się 10 lipca 1928 roku w Kołomyi. Ojciec mój pracował w policji, tuż przed wojną był w stopniu sierżanta, kierował kancelarią. Matka nie pracowała, nie miała żadnego zawodu. W chwili wybuchu wojny rodzina nasza znajdowała się w Kołomyi. Ojciec 17 września opuścił miasto, wraz z kolegami z pracy przedostał się na Węgry, a potem był na Zachodzie /Francja, Anglia/. W ogóle nie miał styczności z Rosjanami. Do Polski wrócił bodajże w 1946 roku.

Ja z matką zostałem w Kołomyi. Miałem pójść do V klasy. Według Rosjan. Poszedłem do szkoły ale pojawił się kłopot, bo nas z matką wyrzucano z Kołomyi: w naszym mieszkaniu został zatrzymany pan, który miał zamiar przedostać się na Węgry czy do Rumunii. Mężczyznę tego aresztowano, a nam za karę kazano opuścić Kołomyje. Przeniesiśmy się wtedy z matką do babki do Gwoźdźca. Nie pakowaliśmy się w ręce uzbrojonych ludzi, takiego gwałtu nie było, ale musieliśmy się wyprowadzić dość szybko.

W Gwoźdźcu co jakiś czas przychodził do nas pracownik NKWD i sprawdzał, czy matka nie opuściła miejsca zamieszkania. Potem się okazało, że funkcjonariusz ten bardzo dobrze mówi po polsku. To był rosyjski kapitan, język miał wyuczony, mówił poprawnie.

W Gwoźdźcu byliśmy do 13 kwietnia 1940 roku. Naukę w szkole podjąłem jeszcze w Kołomyi. Uczylem się chyba miesiąc czy półtora miesiąca. W Gwoźdźcu też poszedłem do szkoły. To była szkoła ukraińska. Miałem bardzo duże problemy z Ukraińcami, te dzieci mnie wyzywały. Nie znałem ukraińskiego, zacząłem więc opuszczać szkołę. Matka o tym nie wiedziała, ale ja starałem się nie chodzić na lekcje. Wagerowałem, ale to nie były przyjemne węgry, bo byłem samotny przez cały czas. W klasie chyba było kilkoro dzieci polskich, ale one były miejscowe, jakoś dawały sobie radę, a ja byłem podwójnie obcy. Tak ten czas minął do kwietnia.

Żochowski Tadeusz c.d. - 2 -

Wywieźli z naszej rodziny tylko mnie i matkę. Nie ruszono babki i takiej pani, która mieszkała z mężem u mojej babki - nazywałem ją ciocia. W Gwoźdźcu były wagony. W wagonie były też rodziny ukraińskie. Wywożono też ciotkę z trojgiem dzieci, też bez męża. Znałem tylko ich, byliśmy razem na zesiapiu.

Podróż była uciążliwa. Nie zatrzymywaliśmy się praktycznie w dzień, postoje były w nocy. Jedzenia regularnie nie dawali, ale nie pamiętam, żebym głodował - matka na pewno coś zabrała do jedzenia. Pierwszy raz wyszliśmy na powietrze już na Uralu. To był piękny widok, już była wiosna.

Dowieźli nas do Semipałatyńska. Umieszczono nas w barakach należących chyba do kopalni torfu. Tam byliśmy bardzo krótko. Zaproponowano pracę albo w kołchozie, albo w kopalni torfu. Matka wybrała kołchoz, może nawet za moją namową, bo uważaliśmy, że na wsi będzie jedzenie, żeby tylko przetrwać ten krótki okres. Nikt nie liczył się z tym, że to może trwać długo. Rozmowy dotyczyły tylko tego, kiedy będziemy wracać. Z transportem przyjechały prawie same kobiety z dziećmi. W naszym wagonie chyba ja byłem najstarszy spośród chłopców.

Ciekawie wyglądała selekcja nas do kołchozu. Wszyscy z tego transportu stawiliśmy się z rzeczami wzdłuż drogi. Ludzi było tyle, że nie widać było końca. To było jak na rynku niewolników. Oczekiwałem, że coś się wydarzy. Przedsiębiorcy kołchozu chodzili wzdłuż tego rzędu i lustrowali ludzi. Zachowywali się grzecznie, nie było żadnych rozdzierających scen, ale ta lustracja nie była przyjemna. Przewodniczący byli przeważnie Rosjanami, ale nas wybrał przedsiębiorca Tatar, a kołchoz był kazachski. To był jakiś nowy kołchoz, zabudowania to były lepianki, mizernie wyglądające nawet w porównaniu z sąsiednimi kołchozami. Tam były jakieś już domy, a u nas był tylko jeden budynek drewniany, w którym się mieściły władze.

Przywieziono nas pod lepiankę, wyładowano. A lepianka

wyglądała w ten sposób: to było pomieszczenie z klepiskiem, jedna izdebka z przedsionkiem. W przedsionku tym był kazań to jest taki duży wmurowany gar i to było całe wyposażenie lepianki. Patrzyliśmy na to wszystko z przerażeniem: w lepiance były cztery rodziny, cztery kobiety i ośmioro dzieci (w tym była moja ciotka Kazimiera Sowiakowa z trójką dzieci). Najmłodsze dziecko miało może ze 2 lata.

Ludność miejscową stanowili Kazachowie. Zachowali się bardzo przyzwyczajenie: tego wieczoru, kiedy przyjechaliśmy, zaprosili nas do siebie. Poczęstowano nas herbata i serem zrobionym z kumysu. Potem takie przyjęcie już się nie powtórzyło. Nie mogliśmy się z nimi porozumieć, bo tam nikt poza brygadystą i przedsiębiorcą nie mówił po rosyjsku.

Po przyjeździe na drugi dzień kazano nam iść do roboty. A ci miejscowi Kazachowie wyobrażali sobie, że przywieźli polskie panie w złotych pantoflach i pięknych sukniach - rozczarowali się naszym wyglądem. A potem byli rozczarowani całkowicie, kiedy zobaczyli, że Polacy mają pojęcie o pracy w polu. Moja ciotka pokazała się prawie jako znawca, bo знаła się na sadzeniu ziemniaków, a w tym kolchozie chyba po raz pierwszy sadzono ziemniaki.

Powiedziano nam, jak nas będą rozliczać za tę pracę. Ja prowadziłem rachunkowość na własny użytek. Kiedy szacowałem, ile my z matką zarobiliśmy, to doszedłem do wniosku, że przeżyjemy bez sprzedawania rzeczy, że zarobimy na utrzymanie. A po skończeniu żniw dostaliśmy po 16 kilogramów maki. A przedtem dawali nam co dnia litr mleka na rodzinę. Nie dawali żadnych innych produktów, pozostałe jedzenie kupowaliśmy sprzedając rzeczy przywiezione ze sobą.

Zima zastąpiła nas w tym kolchozie. Chyba w lutym wystaraliśmy się poprzez kolchozowego milicjanta o pozwolenie wyjazdu do Semipałatynska. Tam Polacy pracowali w fabryce wyrobów skórzanych. Tam zaczęła pracować ciotka, dostawała już tam chleb. A ja poszedłem jako pomocnik do jednego Polaka, który stawiał ludziom pieczę. On zarabiał dość przyzwyczajenie i ja przy nim zarabiałem dość lepiej, niż

riotka w tej fabryce. Ale to była bardzo ciężka praca, nosilem na piętra cegły, zaprawę - dla takiego chłopca to był duży wysiłek. Matka moja nie pracowała, nie miała siły, chorowała na reumatyzm. Ciotka miała troje małych dzieci i matka opiekowała się nimi.

W Semipałatyńsku było bardzo duże skupisko Polaków. Nie przypominam, żeby ktos z polskich dzieci chodził do szkoły, chociaż możliwości uczenia się na pewno były. Nawet jeszcze w kolchozie namawiano mnie, żebym chodził do szkoły. Szkoła była we wsi obok, trzeba byłoby chodzić kilka kilometrów. Nauczyciel Kazach namawiał mnie do podjęcia nauki. Dzieci kazachskie chyba chodziły do szkoły. Nie miałem kolegów, coś tam kontaktowałem się z synem Tatara, ale to nie było przyjazne.

Z Gwoźdźca otrzymaliśmy chyba raz czy dwa jakąś pomoc. Wśród nas była jedna rodzina żydowska, oni otrzymywali paczki bardzo często; nie widziałem natomiast, żeby inni ludzie coś otrzymywali.

W Semipałatyńsku mieszkaliśmy w barakach tylko dla Polaków. Nie było nad nami jakiegos nadzoru. Był kiedyś taki przypadek: z przedmieścia do miasta dojeżdżało się ciężarówką, która pełniła rolę autobusu. Ciężarówka ta była stale załadowana. Przy tych piecach pracowałem rzęsto od rana do wieczora. Kiedyś wracałem wieczorem, jechał ostatni autobus, chciałem się do niego koniecznie dostać, żeby potem nie iść piezo, bo to było niebezpieczne. Kopnąłem przy wsiadaniu konduktora, żeby mnie wpuścił. On zaprowadził mnie na komisariat, ale przy przesłuchaniu funkcjonariusz zachował się bardzo po ludzku, puścił mnie do domu.

Informacja o wybuchu wojny dotarła do nas poprzez "kukuruźniki", bo gazet chyba nikt nie czytał. Głośniki te były też w domach. Stąd dowiedziałem się, że jest jakieś porozumienie z Polską. Mieszkaliśmy wtedy u jakiegos Ukraińca. Pewnego dnia z rana przez głośnik usłyszałem: "Jeszcze Polska nie zginęła". Okazało się, że wtedy Sikorski przyjechał do Moskwy i coś się zmieniło.

Zochowski Tadeusz c.d. - 5 -

Po tym wydarzeniu zaczęła się coś dziać. W Semipałatyńsku powstała delegatura rządu polskiego, pojawili się żołnierze w polskich mundurach, mówiono, że oni są z Anglii. Dostaliśmy paczki od nich - ja dostałem piękne buty i spodnie, było też coś do jedzenia - jakieś smalec i coś jeszcze. Delegatura zaczęła działać dość aktywnie i trochę pomocy otrzymaliśmy. Ja byłem strasznie szczęśliwy z powodu tych butów. O sprawach szkolnych w tym czasie nie wiem.

W tym czasie ojciec nasz był już w Anglii. Nawiezał z nami kontakt: był telegram i przyszły pismiadzeł. Ojciec zawiadamił nas, że stara się o wizy dla nas. Później opowiadał nam, że były podjęte decyzje, że żołnierze na Zachodzie mieli sprowadzić swoje rodziny z głębi ZSRR. Wierzyliśmy, że te wizy przyjdą.

Potem jakos tak się stało, że zaproponowano mi wyjazd do junaków. Dość często chodziliśmy do tej delegatury, bo to była instytucja polska, wszyscy czuli się tam u siebie, widzieliśmy tam chyba dwie osoby w mundurach polskich - to nas podtrzymywało na duchu. Podjęcie decyzji, że ja wyjadę sam, rozdzielię się z matką, było okropne. Później mama mówiła mi, że do końca sądziła, że jakos zabierze się ze mną. Gdybyśmy mieli więcej odwagi, to matka mogłaby jechać, bo ludzie tak jechali.

Ja ruszyłem z Semipałatyńska, a po drodze dosiadałi się Polacy, którzy nie mieli jakichś specjalnych skierowań, oni wiedzieli po prostu, że będzie jechał pociąg. To nie był żaden specjalny pociąg, to był zwykły osobowy pociąg, z tym, że były jakieś specjalne wagony zarezerwowane dla Polaków.

W sierpniu 1942 roku wyjechałem z Semipałatyńska. Rozstanie z matką było tragedią. Tak się ułożyło, że matka została jeszcze na cztery lata sama.

Z Semipałatyńska dojechałem do Alma-Aty. To był już okres, kiedy stosunki polsko-sowieckie bardzo się ochłodziły, wybuchła już sprawa Katynia, zaczęły krążyć pogłoski, że dalej już nie pojedziemy. Przez cały ten czas byliśmy w wagonach, w Alma-Atie koczowaliśmy kilka dni, bo odcepiono

nas od tego pociągu transsyberyjskiego. W wagonach byli ludzie dorobli, a nas - takich chłopaków jak ja - było może siedemnaście. Nikt nami się nie zajmował, nie mieliśmy prowiantu, zaczęliśmy kraść. To odbywało się w ten sposób, gdzieś na trasie pociąg stawał, do pociągu podchodzili kolchoźnicy, którzy mieli do sprzedania jakieś produkty. Kiedy pociąg już miał ruszyć, my w ostatniej chwili wyskakivalismy z pociągu i chwytaliśmy, co się dało.

W Alma-Atie zbierano chyba kaponkę, żeby załatwić wyprawienie pociągu dalej. Nikt z nas przedtem sobie nie wyobrażał, że ta podróż tak będzie wyglądała. Kiedyś wiedział, że Rosja jest duża, ale nie aż tak duża.

Dojechalismy wreszcie przez Taszkient do Janga-Julu. Tam nas już nakarmiono. Tam był batalion wojskowy, w kompanii sztabowej dali nam ubrania wojskowe (to były ubrania dla dorosłych żołnierzy). Pamiętam tylko, jak jakiś sierżant przyniósł nam wiadro grochówki i myszy z tego wiadra jedli, bo nie mieliśmy żadnych naczyń. Później już było dobrze, dostawałem jedzenie, ale faktem cwoców i to jedzenie oddawałem nawet za cwoce.

W Janga-Julu byliśmy gdzieś około tygodnie. Potem do pociągu - i nad Morze Kaspijskie. To już był transport wojskowy. Było gorąco i ciasno. Byliśmy nieustraszeni i spaliśmy nawet na dachach wagonów - jak nikt nie spadł z takiego dachu, tego nie wiem! W Krasnowodsku może 3-4 dni czekaliśmy na statek. Tam nam kazano oddać wszystkie pieniądze, to był warunek władz sowieckich. Junacy zbrali te pieniądze, zbierałem cały worek, a mój kolega miał bez tyle. Ruble te rzuciliśmy, a wiozłem ze sobą worek sucharów. Te pieniądze wyrzuciłem, to może był błąd, może należało je jakoś zagospodarować. Co prawda, byliśmy tam na terenie pustym, odosobnionym.

Załadowaliśmy się na stateczek, to był chyba statek do transportu węgla. Z Krasnowodska przez Morze Kaspijskie dołynęliśmy do Pahlewi. Tam już były przygotowane dla nas namioty, była zorganizowana grupa junaków - dostałem się do

tej grupy, ale nie byłem w niej zbyt długo. Byłem w grupie około 1000 osób, to byli sami chłopcy, ja należałem do tych młodszych. Czasu sbytnio zorganizowanego nie mieliśmy, czasami troche maszerowaliśmy. Na piąty był las namiotów, w których mieszkaliśmy, może ze cztery dni byliśmy w Bahławi. Potem zawieziono nas do Teheranu.

W Teheranie był taki zaduszony teren. Spaliśmy na kocach na ziemi, bez łózek. Nie brakowało jedzenia, dostawaliśmy nawet jakieś kieszonkowe. Dopóki byliśmy przy wojsku, było dobrze, a kiedy wojsko odeszło z junakami - to był może listopad-grudzień - to było gorzej.

Ja w międzyczasie zachorowałem na malarie. Do junków nie zostałem zabrany, bo do junaków była tych, którzy mieli skończoną szkołę. Można było pozachrować może rok, a ja miałem za mało klas. Tych, którzy zostali, zaczęto rozwozić. Ja się dostałem do Iswahanu, tam była szkoła.

W Iswahanie był internat, w tym samym budynku uczyliśmy się. W dzień dane pomieszczenie było klasą, a w nocy to była eypialnia. Uczyły nas polnie. Polki. Kontakta z matką w tym czasie nie miałem, nie było też wiadomości od ojca. Nie pamiętam z tamtych czasów żadnych nazwisk kolegów. Tam dostałem świadectwo ukończenia I półrocza VI klasy. Nauka tam była take luźna.

Potem dzieci z Persji w 1943 roku zaczęto rozwozić po całym świecie. Ja dostałem się do grupy, która popłynęła do Południowej Afryki. Wtedy były z nami też rodziny. Część z naszej grupy została w Środkowej Afryce, a ja trafiłem do Afryki Południowej. W mojej grupie było 300 chłopców i dziewcząt. To już był sierociniec, dzieci były w różnym wieku - od przedszkolaków po gimnazjalistki /dziewczeta były no ogół starsze od chłopców/. Utworzono tam żeńskie gimnazjum /w Oldshorn/.

Kiedy nas wylądowano w Durbanie, to pociąg już na nas czekał. To był pociąg z wagonami eypialnymi, łózka z przescieradkami. Przyszli Murzyńi i poscieliłi nam łózka: podano mleko z czekolada. Wtedy widziałem Murczyne po raz

pierwszy w życiu, ale to nie był szok. Szokiem były te warunki, w jakich nas spotkano: baliśmy się nawet wleźć do tych czystych łóżek... Ten luksus zaczął się już w pociągu. W miasteczku mieszkańcy - społeczność miejscowa witała nas z zastawionymi stołami. To było bardzo małe miasteczko.

Zamieszkaaliśmy w budynku po byłych koszarach wojskowych. Tam czekał na nas już kierownik szkoły. To był ksiądz, który dostał się tam nieco wcześniej niż my. Był jeszcze jeden ksiądz, który płynął razem z nami - ksiądz Czadecki. Tam zaczęliśmy się już uczyć, ale to też była nauka bez podręczników. Uczyliśmy się też angielskiego, uczyła nas nauczycielka, która nie znała polskiego, a nie mieliśmy książek. Uczyła w ten sposób, że pokazywała przedmioty, a myśmy powtarzali słowa.

W RPA byłem do lutego 1945 roku. W tym sierocińcu byliśmy raczej odizolowani od miejscowej ludności. Były wspólne mecze piłki nożnej, ale kontaktów na co dzień nie było. Byliśmy może parę razy w kinie. Życie było o tyle bezpieczne, że nie musiałem się o nic troszczyć, mogłem się spokojnie uczyć. Nie miałem wiadomości od matki, ale ojciec mnie odnalazł. Do matki zawiadomiła go, że ja wyjechałem. Miałem dużo listów od ojca, one rozmijały się ze mną, ale w końcu docierały. Miałem więc kontakt listowny z ojcem, ale osobienie się nie widzieliśmy. Dlatego między innymi wyjechałem do Anglii, bo tam powatawało gimnazjum polskie - szkoła morską. Liczyłem na spotkanie z ojcem. A ojciec był w tym czasie w Niemczech. Ale po moim przyjeździe ojciec wrócił do Anglii i spotkałem się z nim. Był więc taki okres, kiedy matka była na wschodzie w Kazachstanie, ja - w Afryce Południowej, a ojciec - w Anglii.

W Anglii uczyłem się do 1948 roku. Wojna się skończyła, stosunki polsko-angielskie były już inne. Ojciec już w 1946 roku wyjechał do Polski, wyjeżdżał z Niemiec. Mnie nie zabierał ze sobą, chciał, żebym ja ukończył szkołę. A ja nie ukończyłem liceum w Anglii, ukończyłem tylko gimnazjum. Poem ojciec napisał, żebym wrócił do Polski.

W szkole w Anglii miałem pełne utrzymanie i skromne



Zechowaki Tadeusz c.d. 9 -

kieszonkowe. Decyzję o powrocie podjąłem ostatecznie sam, nie było żadnego przymusu ze strony rodziców. Miałem poczucie obowiązku, żeby wrócić, bo rodzice nie mieli nikogo poza mną. Tym bardziej, że ojciec napisał, żebym wrócił.

Ojciec w 1945 roku pisał do swojej rodziny do Górkowa Podlaskiego, żeby poszukiwali matki. Matka po powrocie z zesłania pojechała do rodziny ojca. Ojciec proponował, że ściągnie ją do Anglii, ale matka się nie zgodziła.

W Polsce nie miałem w zasadzie kłopotów z tego powodu, że byłem w Anglii. Jedynie zdając na uczelnię nie napisałem, że ojciec był przed wojną policjantem. Napisałem, że był urzędnikiem państwowym. Pisząc o deportacji używałem słów, że "znalazłem się w ZSRR", nie pisałem, że byłem wywieziony.

Z moich kolegów z Anglii nie spotkałem w Polsce nikogo, spotkałem jedynie kolegę, który wrócił z Afryki Południowej. Wyjeżdżając z Anglii, a ja wracałem sam, obiecywaliśmy sobie pisać, utrzymywać kontakty...